



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### NA ŚWIĘTA ZMARTWYCHWSTANIA.

Zwycięzco śmierci, Baranku Boży,  
 Chrystusie ukrzyżowany!  
 Drogo żywota, Światło bezdroży,  
 Prawdo stwierdzona krwią, rany...

Któryś obiecał nam zmartwychwstanie  
 Do życia przez Cię i w Tobie,  
 Wspomnij, gdy legniem kłosem na łanie  
 Kolebce jestestw i grobie,

Gdy wioną śmierci skrzydła olbrzymie  
 Wspomnij, że w Tobie otucha,  
 I zbudź nas wszystkich, ach! zbudź nas w Imię  
 Ojca, i Syna, i Ducha.

M—a.



### WIELKANOC.

Do uroczystych świąt kościoła katolickiego należą święta Wielkiéjnocy, obchodzone na cześć zmartwychwstania Chrystusa, a nigdzie pono taksolemnie, tak radośnie je nie obchodzą, jak u nas. Cały tydzień poprzedzający owe święta, zwany wielkim tygodniem, mówi każdemu, że zbliża się jakaś wielka uroczystość.

„Już po dworach ruch nieznanym  
 Wszystkie twarze uwesela,  
 Czyszczaą domy, bielą ściany,  
 Na przyjęcie Zbawiciela;  
 Z nad kominów wałą dymy  
 Że aż poczuć je zdaleka,  
 To obyczaj nasz rodzimy,  
 To święcone się wypieka.”

Tak owe dni maluje poetycznym swem piórem Ludwik Kondratowicz. Zaiście wzruszająca to uroczystość, do której gotujemy się w wielki tydzień, obchodzimy nią dzień zmartwychwstania Chrystusa.

Niegdyś w czasach pogańskich, gdy imię Chrystusa, znanem jeszcze nie było ludom słowiańskim, w owej porze, to jest w dniach pierwszych wiosny, Słowianie obchodzili uroczystość na cześć słońca i ziemi, na nowo się odradzających z pod władzy bóztwa Ciemności, Zimna i Śmierci, w owe święto dzielili się oni zwykle jajkiem, które było u nich symbolem braterstwa, a słońce uważali za Boga pokoju i zgody, piekli ciasta i ofiarowywali je ziemi, czyli wszechmatce, Babą u nich zwaną, jedli też szczególniej w owe dni wieprzowinę.

Kiedy Chrześcijaństwo rozkrzewił się wśród słowiańszczyzny i święta pogańskie zniesione zostały, kiedy Polanie, Rusmi, Serby, Czesi, Mazurów, oraz inne ludy do tego samego plemienia należące, przed krzyżem się ukorzyły i oddały cześć Zbawicielowi świata, odtąd obchodzili oni zmartwychwstanie Chrystusa, lecz przy owej chrześcijańskiej uroczystości zachowywali niektóre z dawnych zwyczajów, jak dzielenie się jajkiem, pieczenie ciast, zastawianie stołów mięsiwem; święcone zatem zwyczaj tylko u nas obchodzony, jest czysto słowiańskim zwyczajem.

Kto nie zna pochodzenia tych zwyczajów, temu one śmieszne, niedorzeczne i niepotrzebne się wydają; lecz kto wie o tem, że to pamiątka przeszłości, zabytek tak bardzo odległych czasów, ten nie gardzi nimi, lecz je szanuje.

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg.)

— Cóż za niedorzeczność — zawołał uderzając się w czoło — dla czegoż od pierwszej chwili przybycia nie starałem się o jaką pracę! Ależ o jaką?... W każdym razie zmarnowałem dużo czasu. Wszedł po namyśle do kilku sklepów z kolei ofiarując swe usługi jako chłopiec sklepowy i wyszedł jeszcze prędzej, prawie zadowolony że go odprawiono z niczem, bo zajęcie o które prosił wstętnem mu było. Doznawał jednocześnie jakby zawrotu głowy, zastanawiając się nad tą niewątpliwą prawdą, że nie umie nic, czemby mógł na chleb zapracować, a tymczasem myśl uciekała mu ciągle do pytania, gdzie też to odkopywane były owe szczątki rzymskiego amfiteatru, których dotąd napotkać w Budzie nie mógł?...

Zamyśliwszy się o rzeczach, które zajmowały go daleko więcej niż najbliższe własne sprawy, głodny chłopak ani się spostrzegł gdy znowu stanął w odludnej trochę miejscowości, gdzie pod cieniem kilku pięknych drzew, grunt niegdyś trochę skopany a następnie bujną pokryty roślinnością, jakiś odłam muru starego i kilka głazów ogromnych przedstawiało jego wyobraźni szczątki amfiteatru rzymskiego.

— Tu? czy nie tu?... dziesięć tysięcy ludzi dawało przed wiekami grzmiący oklask arcydziełom ducha ludzkiego?... — spytał sam siebie po raz setny od trzech dni; i z rękami na piersiach skrzyżowanymi, zamyślony jak głównodowodzący generał w przeddzień walnej bitwy, stanął nieruchomy obejmując okiem zieloną przestrzeń usianą głazami, oblaną złotemi blaskami południowego słońca, pogrążoną w głębokiej ciszy osamotnienia. Wtedy to, wśród tej ciszy lekkim tylko, ciepłym wietrzykiem owianej, Szandor usłyszał dźwięczny głos mężki, deklamujący z przejęciem do uniesienia dochodzącym, wzniosłą jakąś poezją. Jak małe igielka nagle pociągnięta zbliżonym do niej magnesem, chłopiec pomknął mimowoli w stronę głosu i okrążywszy węgiel starego muru, stanął nieruchomy, jakby oczarowany ujrzanym niespodzianie widokiem. O kilka kroków dalej, w miejscu które istotnie podwyższeniem swem nadawało się i przypominało niejako scenę, przypuściw-

szy że reszta otaczającej doliny, wzniesionej także na ostatnim planie w półkole, była amfiteatrem, stał średniego wieku mężczyzna z gołą głową, z wybitnymi rysami, w płaszczu, z jedną połą zarzuconą w malowniczej draperji na lewe ramię, i mówił:

Być?... albo nie być?... oto jest pytanie!  
Co lepiej dla nas: jestże lepiej znosić  
Ciosy i pchnięcia losom zadawane,  
Czy też broń schwycić także przeciw losom  
I siłą woli... zmódz je!...

Nieznamy mówił długo a każdy wyraz jego padał prosto w serce słuchacza; gesta wyraziste, silne, jakby wykowane, zarówno jak rysy twarzy i draperje togi, dopełniały złudzenia. Wsłuchany całą duszą w deklamację wspaniała, nie mając czasu myśleć, młody chłopiec począł jednakże uczuć niepojęte wzruszenie. Nie był on zabobonnym w pospolity właściwy ciemnocie sposób, ale uniesiony własną potężną wyobraźnią, gotów był uwierzyć w tej chwili, że to duch jakiegoś artysty-aktora rzymskiego, wrócił po licznych wiekach, aby na arenie swoich tryumfów, powtórzyć brzmiące mu w piersi od tylu wieków słowa przepiękne, myśli przeolbrzymie, jakimi tu w tem samym miejscu, oklask dwudziestu tysięcy rąk niegdyś zdobywał. Nagle, duch aktora zamilkł... zwrócił się w bok od jakiegoś niewidzialnego kolegi oczywiście i... znalazł się oko w oko o trzy kroki z rozplamionym, na wpół zaledwo przytomnym z uniesienia słuchaczem. Rzymianin nie byłby tem czem był, gdyby nie poznał się od jednego spojrzenia na uwielbieniu, z jakim nań patrzano, a to pochlebilo artyście, jakkolwiek przychodziło od tak młodzieńczego zapaleńca. Więc podejmując porzucony na głazie kapelusz i zeszyt, rzekł z lekkim uprzejmym pół ukłonem, uśmiechając się od niechcenia:

— Jesteś jak widzę wielbicielem Szekspira?... trudnoż bo nie podziwiać takiej potęgi!...

— Szekspira?... — cofnął się Szandor i oprzytomniał od razu. Niespodzianka musiała się uwyraźnić na jego twarzy, bo Rzymianin który jednym gestem zmieniający swą toż w płaszcz pospolity zamierzał odejść, zatrzymał się, patrząc nań z uśmiechem pytającym wzrokiem; chłopiec rozśmiał się:

— Ech niestety, Szekspira znam ledwo z nazwiska — rzekł — a pana wziąłem za...

— Za waryata rozprawiającego z głazami?

— Za rzymskiego aktora-artystę, który po wiekach zstąpił tu na scenę dawnych swych tryumfów, powtórzyć ulubioną za życia rolę. Nie mogłem tylko poznać czyja to poezja?

Nieznamy przypatrywał mu się bacznie.

— Nie zupełnie się rozumiem młody przyjacielu — rzekł w końcu. — Najprzód zgadłeś że jestem aktorem, zowie się Andrzej Losz! do usług twoich — dodał z lekkim ukłonem — ale nie wiem co mówisz o amfiteatrze?...

— Ja się zowie Szandor Petöfi... — odpowiedział chłopiec i wyjaśnił swe przypuszczenie co do rzymskiego amfiteatru. Losz wzruszył ramionami:

— O Rzymie w ogóle mało wiem — wyrzekł — co do tych gruzów wśród których stoimy, są to resztki starego browaru, dystylarni, czy czegoś podobnego. Przychodzę tutaj czasami uczyć się roli mojej, bo mam tu samotność i ciszę w pobliżu miejskiego gwaru, o co nie jest łatwo. Ale z zajęcia z jakim słuchałeś monologu Hamleta wnoszę, że mam do czynienia z przyszłym jeżeli nie teraźniejszym już nawet kolegą? Co? He?... — aktor zaglądał chłopcu w oczy sądząc, że się zarumieni zdradzając tajoną chętkę do zawodu, który nęci niejednego młodzieniaszka zwodniczymi pozorami arcyzmu, narażając na rozczarowanie następnie i żal spóźniony za zmarnowanym czasem. Ale Szandor nie zarumienił się, tylko podnosząc na pytającego oczy posmutniałe nagle, spytał półgłosem jakby mówiąc do siebie samego:

— A możebym ja mógł znaleźć jakie zatrudnienie w teatrze?... zanim na aktora się wykształcę?... — Przykre obecne położenie teraz dopiero przyszło mu na myśl,

ostatnimi pytaniami Losza wywołane. Nastąpiły wyjaśnienia; Szandor ani się zawahał zwierzyć ze swemi kłopotami.

— Hm, w każdym razie nie zaszkodzi pogadać z dyrektorem — postanowił Losz — tylko wprzód wstąpmy na obiad; dziś ja płacę, jak weźmiesz pierwszą gażę aktorską, to na ciebie przypadnie kolej.

— Gażę? Czy tylko ją wezmę kiedykolwiek? Czy dyrektor zechce?...

— Zechce... jeżeli nie będziesz wybredzał z początku i jeżeli następnie znajdą się zdolności. No chodźmy! — W pół godziny później dwaj nowi znajomi weszli na podwórze obszernego budynku.

— Jest dyrektor? — spytał Losz, zwracając mowę do kilku dosyć odartych ludzi zajętych na środku podwórza rozwijaniem olbrzymiej jakby rolety na której drzewa, lasy, góry, zamek jakiś na szczycie skały, pojawiały się z wolna.

— Dyrektor jest na scenie — odpowiedzieli.

— Pójdź, tylko ostrożnie, jeżeliś nigdy po takich dziurach nie chodził — rzekł Losz i poszedł pierwszy. Weszli w nawpół przymkniętą bramę i znaleźli się we wnętrzu budynku. Dziwny był jego wygląd. Gdzie stąpisz, przepaść, gdzie spojrzysz, lata, belka; czego dotkniesz wszystko chwieje się i rusza, nic dobrze zresztą nie widać, bo łaty, belki, deski, zasłaniają światło, wkradające się tylko z kądków; kurz zaciemniał resztę. Szandor szedł za towarzyszem pod górę po pewnego rodzaju pomoście z ruchomych desek. Na pewnej wysokości Losz zawrócił w prawo i znów pytał gdzie dyrektor?

— W dużej garderobie! — odpowiadały jakieś głosy. Losz zawrócił w prawo, Szandor szedł za nim, ale nogi uplątały mu się w grube sznury i płótna i o mało nie upadł.

— Panie dyrektorze, przyprowadzam nowego posługacza na miejsce generała Maćka zwerbowanego do wojska — rzekł Losz, gdy się znaleźli wreszcie na scenie.

— Kandydat na ducha raczej, gdyby był trochę wyższy, — odmruknął dyrektor, rzuciwszy jednym okiem na Szandora nie przestając pisać w jakimś zeszycie, który miał przed sobą.

— Tem lepiej, przyda się na ducha Banka \*) — odzywa się kilka głosów i wszyscy patrzą na wychudłego, jak cień wyglądającego chłopca.

— Eljen! masz już rolę, tylko wdziejesz koturny \*\*) bo przyzwoitemu duchowi nie wypada być tak małego wzrostu — rzekł Losz do swego protegowanego.

— Umie czytać? — spytał dyrektor, nie przerywając swego zajęcia.

— Lepiej niż my oba! — szepnął mu Losz do ucha. Dyrektor spojrział uważnie.

— Homera i Horacego umie na pamięć, toż samo Szylle-  
ra, tylko Szekspira ani w ząb, nawet monologu Hamleta dziś rano jeszcze nie znał, w każdym razie mojem zdaniem, może grywać odrazu choć nieme role w starożytnych tragediach, no, i tymczasem posługiwać na scenie!... — dodał. — To chłopak zamożny, mógłby żyć dostatnio, ale miłość dla sztuki uniosła go i sprawiła w nieporozumienia z rodziną.

— Zobaczmy — rzekł dyrektor.

— Chodź kolego, pokażę ci robotę dzisiejszą — dodał Losz.

Nazajutrz, zawsze za jego protekcją, Szandor otrzymał małą zaliczkę na *conto* przyszłej gaży i... natychmiast pobiętszy na miasto wyszukał gramatykę angielskiego języka, i każdą chwilę wolną na naukę upragnionej angielszczyzny oddał obracał. Na scenie ustawiał sprzęty w myśl reżysera, pojmując go lepiej niż zwykli posługacze, w tragediach starożytnych odgrywał nieme role, jako też i role duchów, o ile te poprzedzawały na mniej więcej niemem ukazywaniu się. Prawdziwej roli nie dostawał jeszcze, bo nie było odpowiedniej do tak drobnej postaci. Koledzy nazywali go pospolicie „duchem”

\*) Duch ukazujący się w jednym z utworów Szekspira.

\*\*) Obuwie starożytnych aktorów na niezmiernie wysokości podszewi

lub „cienkim duchem” a Losza „Rzymianinem” dowiedziawszy się szczegółów ich pierwszego spotkania.

(d. c. n.)

## PALMA WACHLARZOWA.

Ojczyzną ślicznego drzewa tego jest Madagaskar, lecz obfitują weń i inne podzwrotnikowe okolice. Olbrzymie liście wyrastające jeden nad drugim w półkole wprost z pnia, zupełnie w kształcie wachlarza, mają od dziesięciu do czterestu stóp długości. Nawet w czasie największej suszy, każdy liść taki zawiera przeszło kwartę, smacznej chłodnej wody, która obficie wylewa się zeń za przekłóciem. Aż smutno pomyśleć że krajowcy używają tych liści na pokrycie dachów... zdawałoby się że powinni być dla nich to przynajmniej poszanowanie, jakie mahometanin ma dla każdego źródła wody. Jeżeli palma jest w ogóle błogosławieństwem okolic w których wra-  
sta, to palma wachlarzowa jest niem stokrotnie.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska



II.

a zaś myślę — odezwał się Pióropuszek — że mistrz przywiózł nam jakieś osobliwe zwierzątko niezname dotąd. Ej, czy to nie będzie czasem *żaba latająca*, *Rhacophorus Rheinwardti* jedno z najciekawszych ziemno-wodnych stworzeń — dodał patrząc mi bystro w oczy — to żaba, przyznaj się mistrzu kochany! Nie pokazałeś mi jej jeszcze, a powiem ci jak wygląda: zielona, czarno nakrapiana, z pomarańczowem podbrzuszem w ciemne plamy. Oczy ma wielkie i bardzo na wierzch wychodzące. Niebiesko zabarwione brodawki pokrywają jej nogi, na szczególną zasługującą uwagę: palce są bardzo długie, szczególnie u nóg tylnych, połączonych z sobą cienką błoną. Gdy palce te zupełnie rozpo-  
strze, powierzchnia błon jest większą, niż powierzchnia całego ciała, która może być jeszcze powiększoną przez wydęcie powietrzem skóry. Poduszeczki jakimi jej palce są zakończone, wskazują że to jest żabka drzewna, ale niezwykle szerokie jej pletwy nie do pływania służą; podczas gdy inne żaby drzewne skazane są tylko na łażenie, ona jest w stanie w powietrzu przelecieć pewną odległość, a pletwy używa jako spadochronu. Wprost z ziemi wprawdzie wznieść się nie może; musi zawsze swoją podróż powietrzną zaczynać z jakiegoś wysoko nad ziemią położonego punktu, ale bądźco bądź, jest to w żabim rodzaju wielka, nadzwyczajna osobliwość. A co mistrzu, nie zgadłem? Ach! gorąco mi się robi na samą myśl, że mogę posiadać to osobliwe zwierzątko, które odkrył w Borneo znakomity badacz i podróżnik, Russel Wallace, a którego egzemplarz posiada obecnie muzeum paryzkie. Od czasu jak się o tój żabie dowiedziałem, noszę ciągle jej portret przy sobie i przemyśliwam, kogo by tu w poselstwie po nią do Borneo wy-

prawić. Zobacz mistrzu kochany, i powiedz mi czy dobrze trafiony.

Wyjął z kieszeni niewielką książeczkę ze słoniowej kości, gdzie farbami wodnymi namalowana była latająca żaba i podał mi ją.

— Nie mogę ocenić podobieństwa — odrzekłem patrząc na portret — bo nie miałem przyjemności poznać oryginału.

Pióropuszek schował malowidło do kieszeni, i zachmurzył się.

— Widzę że nikt nie zgadnie jaki przywozłem gościniec — powiedziałem. — Słyszę tu wymienione rzeczy bardzo rzadkie, bardzo osobliwe, ale to co przywozłem jest jeszcze osobliwsze.

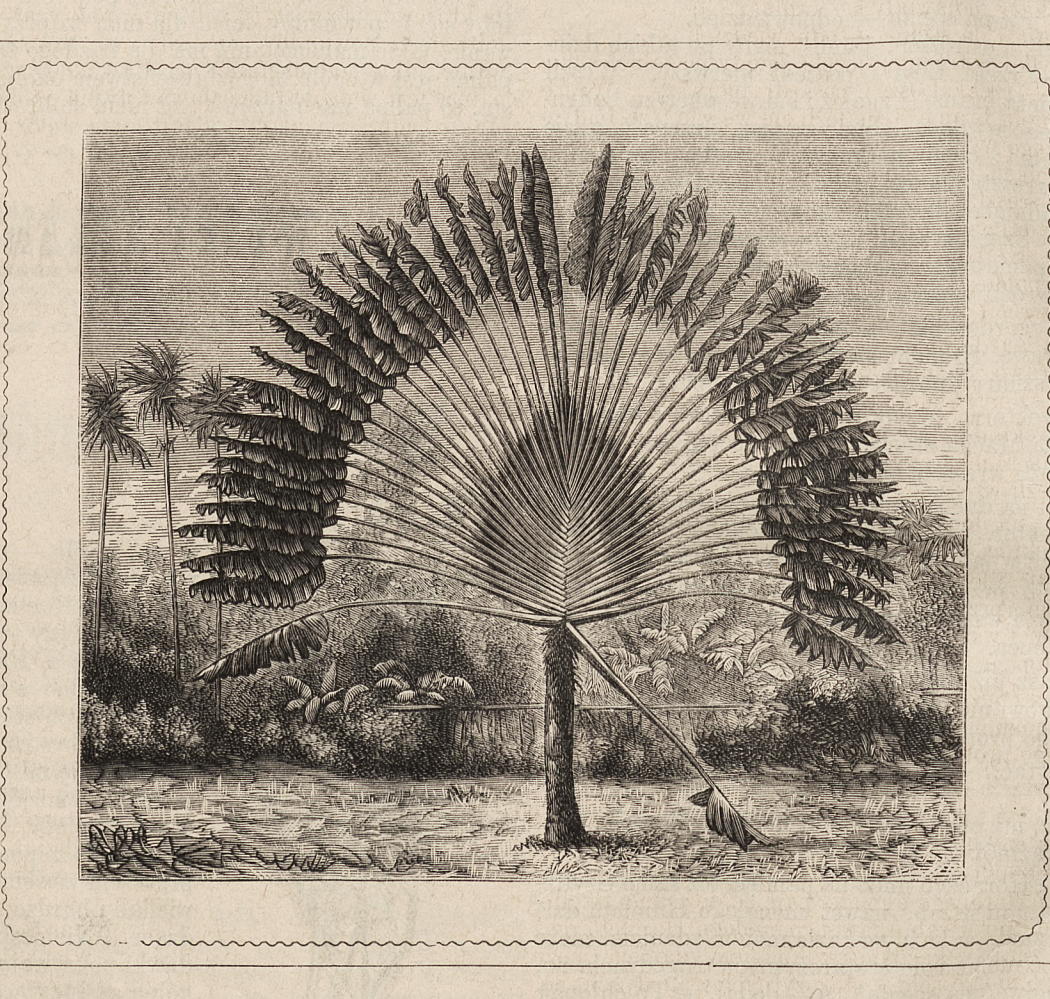
Wielkie zdumienie odmalowało się na wszystkich twa-

W szkatułce na purpurowym posłaniu leżały trzy przedmioty jednakowych rozmiarów, a każdy owinięty był starannie w białą jedwabną, złotem haftowaną tkaninę, wedle wschodniego zwyczaju, dla cennych podarków stosownego. Wyjmowałem te przedmioty kolejno: jeden wręczyłem królewiczowi Kryształkowi, drugi Pióropuszkowi, trzeci Zielonce.

Jęli je odwijać z gorączkową niecierpliwością i z wszystkich ust wyrwał się jednobrzmiący okrzyk zdziwienia, wszystkie bowiem były jednakowe: nie różniły się niczem.

— Książki! — wymówił tonem w którym brzmiało echo zawiedzioną nadziei — i to ma być owa osobliwość, którą nam obiecywałeś?

— Miłośnicy królewicze — rzekłem — osobliwość to wię-



Palma wachlarzowa.

rzach. Zawołałem na pazia żeby mi przyniósł od marszałka dworu szkatułkę, którą zsiadłszy z muła oddałem mu pod opiekę. Wszyscy oczekiwali w niecierpliwym milczeniu, a po oczach ich widziałem, że gubili się w tysiącnych domysłach.

Po chwili paż przyniósł czworokątną szkatułkę z drzewa sandałowego, kupioną przezemnie na Wschodzie i postawił na stole.

— O! — zawołała, ujrawszy ją królewiczowa Perełka — to nie może być w żaden sposób zwierzątko, bo by się udusiło. Szkatułka nie ma otworów po bokach.

— Ani roślina — odezwała się Jagódka — bo rośliny potrzebują oddychać, więc udusiłaby się także.

— To musi być minerał — zdecydował Kryształek, i nikt mu nie zaprzeczył, bo przypuszczenie jego wydawało się najprawdopodobniejsze.

Wyjąłem złoty klucz który miałem na szyi i otworzyłem szkatułkę: wszystkie sześć głów pochyliły się nad nią.

ksza, niż się możecie domyślać. Nie mówcie nic póki się nie przekonacie.

Zaledwie wymówiłem te wyrazy, gdy Kryształek, spojrzawszy na okładkę, zawołał:

— Patrzno Iskierko, jakie to podobne do naszego pałacu, gdy się nań patrzy od strony morza, przez mgłę oparów unoszących się nad wodą! Te same wieże, te same dachy złociste, to samo tło z sinych skał...

A Pióropuszek otworzywszy swoją książkę, rzekł ze zdumieniem:

— Co ja widzę! Szlachetny król Dobromir z królową Miłosławą siedzą na swoich tronach złocistych; u stóp ich trzy nadobne córki dziś nasze żony, a przy nich mistrz Abrakadabrus... Jak wybornie trafiony!

Zielonko zaś przewracający przedź od innych karty swego egzemplarza, wykrzyknął.

— Ach, Jagódko! tu jest skarbiec Kryształka, komna-

ta w koralowym pałacu Pióropuszka i moje własne cieplarnie! Czy widzisz wspaniałe liście palm i kaktusy pokryte purpurowymi kwiatami? Mistrzu, co to wszystko znaczy?

Królewiczowe spoglądające razem z mężami w karty książek, wyrażały także głośno swoje zdziwienie. Kryszałek na którego czole zawisła jakaś chmura i który karty swojej z gorączkową przewracał niecierpliwością, rzekł:

— Tego nawet czytać nie można, bo jest drukowane w jakimś obcym, nieznanym dla nas języku.

Spojrzałem prosząco na Jagódkę, a ona zrozumiaławo mnie rzekła:

— Ja znam ten język! Nauczyłam go się od biednego wygnańca, którego burza zmiotła z rozbitego okrętu i wyrzuciła na nasze brzegi. Ja wam powiem co to jest.

I wzięwszy książkę z rąk męża, przeczytała tytuł tłumacząc go na język Atlantów:

„Niezgodni królewicze, bajka prawdą przeplatana”.

Poczem odwróciła kartę i czytała dalej:

„W pewnym kraju bardzo oddalonym, którego na żadnej mapie nie znajdziecie, panował król Dobromir z królową Miłosławą. Mieli trzy córki, a wszystkie były cudnie piękne, dobre i rozropne. Najstarszej dano imię Iskierka, bo miała oczki śliczne, błyszczące, jak prawdziwe iskiereki. Druga zwała się Perelka, bo białe delikatne jej liczko podobne było do perłowej muszli; trzecia Jagódka, zgadujecie pewnie, że była rumiana jak wisienka”. Urwała i wybuchnęła srebrzystym śmiechem.

— Ach, mistrzu kochany! — zawołała — co za przesłiczna i ciekawa historia! A toż tu ktoś wyraźnie nasze własne dzieje opisał, i niezgodę naszych mężów, jak się domyślam. Przywiozłeś nam gościniec rzeczywiście niespodziewany, osobliwy i bardzo ciekawy: dziękujemy ci za niego serdecznie.

Iskierka i Perelka śmiały się także i cieszyły jak dzieci, że będą czytać swoją własną historię, ale królewiczom za to nie chcieli się śmiać wcale. Tytuł książki sprawił na nich piorunujące wrażenie. Kryszałek stał błądliwy z zaciśniętymi ustami, a oczy jego żarzyły się ogniem silniejszym niż diamenty i ametysty z jego skarbcza. W błękitnych jak habery, łagodnych zawsze oczach Zielonki, odmalowało się prawdziwe zmartwienie, wstyd i przygnębienie; Pióropuszek, najgwałtowniejszy ze wszystkich, cały czerwony z gniewu i oburzenia, wybuchnął.

— Zkąd nasza niezgoda doszła do wiadomości świata? Kto śmiał zdradzać nasze domowe tajemnice przed obcym autorem, i oddawać na pastwę szyderstwa cudzoziemskich czy-

telników? Kryszałku, tyś z nas najstarszy, ty w radzie nas trzech masz głos stanowczy i decydujący: zniesieszże spokojnie taką hańbę? Jeżeli zniesiesz, to ustąp prawo starszeństwa innemu, boś go niegodzien, albo pozwól abym wraz z żoną opuścił na zawsze wyspę Atlantę i zapomniał że jesteś moim bratem!

— Mężu! — zawołała przerażona Perelka — co mówisz!

Kryszałek wysłuchał słów brata spokojnie. I on był

gwałtowny, bo ciemno szare jego oczy sypały nieraz iskry, gdy się gniewał, ale umiał się hamować, czego Pióropuszek nigdy nie potrafił — i ta właśnie umiejętność panowania nad sobą, dawała mu władzę nad umysłami drugich. On i Zielonko wpływali zawsze na gwałtownego królewicza; ale gdy starszy brat powściągał go niby rozhukanego konia w biegu, Zielonko łagodził i uspokajał. I teraz oto Kryszałek nie zaraz odpowiedział: Zatonął w gorejących oczach brata wzrok spokojny, chłodny, rozważny, i widziałem jak pod wpływem tego wzroku Pióropuszek powoli ochłodził.

— Ktokolwiek to uczynił, zostanie ukaranym — rzekł głosem ostrym i zimnym jak stal. Nie wątp bracie że nie mniej niż ciebie obchodzę mnie honor domu. Zarządze w tej sprawie tajne śledztwo i gdy winowajca zostanie odkryty, postąpi się z nim jak z przestępcą politycznym.

— Bracie! — zawołał z głębokim wzruszeniem Zielonko, umiejący tylko przebaczać — zapominasz że ojciec nasz, szlachetny i mądry król Bożydar, zniósł karę śmierci raz na zawsze na wyspie Atlantie.

— Ja ją przywrócę — odrzekł chłodno Kryszałek.

Zapanowało głuche milczenie.

— Nie, nie bracie, nie wierzę! Tyś nazbyt szlachetny, abys potrafił być srogim.

— O tak, znasz go dobrze bracie Zielonko — rzekła słodko Iskierka, kładąc rękę na ramieniu męża. — On jest

nazbyt szlachetnym aby umiał być srogim: wyrok może podpisać, ale po wyroku natychmiast przestępcę ulaskawi, ja wiem!

I poszukiwała jego wzroku, ale Kryszałek patrzył po prostu w ziemię.

— Ja zaś myślę — odezwała się Jagódka — że co się światu raz stało wiadomem, to się już niewiadomem nie stanie, czy winowajca zostanie odkryty i ukarany, czy nie. Poszukiwania czynione w tym celu, będą rzeczą chybioną i bezużyteczną.

— I ja tak myślę — potwierdziła Perelka — a ty kochany mistrzu jakiego jesteś zdania o tej sprawie? Dla czego milczysz?



Dom o 28-u piętach.

— Smucę się że gościniec, którym was chciałem ucieszyć, o mało nie stał się zarzewiem nowj niezgody między braćmi — odrzekłem — a widząc że te słowa sprawiły pewne wrażenie na królewiczach, mówiłem dalej: — Dziwię się mocno, miłościwi królewicze, że mogliście przypuszczać iż niezgoda wasza pozostanie w tajemnicy. Nietylko wszyscy wasi poddani wiedzieli o niej, nietylko w kraju króla Dobromira szeroko o niej mówiono, gdy jeździliście tam do moich pięknych królewien w konkury, ale nawet wróble po lasach i ogrodach, a żaby po jeziorach o niej śpiewały. Jeżeli zatem chcecie ukarać śmiercią takiego co o niej kiedy słowo jakie do drugiego powiedział, to musicie chyba pozabijać wszystkich poddanych, i wytepić wszelkie żyjące stworzenie.

— To prawda — potwierdził prawie przekonany Kryształek i mocne rumieńce wystąpiły mu na twarz.

— Zapomnieliście — mówiłem dalej — że na królów oczy świata są ze szczególną bacnością zwrócone, i dla tego życie ich prywatne powinno być wzorem do naśladowania.

— Ach — szepnął zakrywając oczy rękami Pióropuszek — synowie najszlachetniejszego z monarchów byli w niezgodzie, żyli z sobą jak wrogi, rabując nawet jeden drugiego potajemnie... i to jest wszystko szczegółowo opisane! Co za wstyd dla nas, co za zmartwienie dla naszego drogiego ojca, który chciałby żeby historia zapisała same świetne czyny jego synów...

Potrząsnął książką i odrzucił ją od siebie daleko.

— Poczescie się, miłościwi królewicze — odezwał się na to — pod koniec jest napisane żeście się pogodzili i żyjecie w przykładnej miłości i zgodzie.

Spojrzałem znowu na Jagódkę, a ona zrozumiaławszy w lot moje spojrzenie, zaczęła szybko kartki książki przewracać i odczytała a raczej przetłómaczyła ustęp następujący:

„Trzej bracia panowali zgodnie i opływali w dostatki, bo na wyspie Atlantyc brakowało chyba tylko ptasiego mleka.”

Słowa te rozpogodziły nieco zaszępane twarze królewiczów, Jagódka zaś rzuciwszy okiem na kilka następnych wierszy, dodała z rozpromienioną twarzą:

— Ach mistrzu kochany, tu jest także coś co się jeszcze nie spełniło, ale co koniecznie spełnić się musi. Posłuchaj, tylko.

„Mistrz Abrakadabrus opuścił dwór króla Dobromira i przeniósł się także na wyspę Atlanty. Przesiadywał kolejno u swoich dawnych uczennic, a gdy w trzech rezydencjach pojawiła się liczna gromadka małych królewiczów i królewien, mistrz trudnił się ich wychowaniem”.

— Co za przesłiczna książka! Nie puścimy cię już więcej mistrzu kochany, i nie pozwolimy wędrować po świecie. Zostaniesz u nas na zawsze, bo tak każe wyczytane w tej książce proroctwo.

— Istotnie to piękna książka — potwierdził uśmiechając się po raz pierwszy Kryształek — proroctwo mądre, i oby się spełniło. Pijmy za zdrowie naszego mistrza, niech żyje!

Paź szybko pochwyił dzban, napełnił czary miodem, sześć rąk podniosło się w górę i z sześciu piersi zabrzmiał serdeczny okrzyk:

— Niech żyje!

Widmo nieporozumienia pierzchnęło, wszystkie twarze rozjaśniły się, tylko u Pióropuszki pozostał lekki ślad chmury na czole. Gdy zasiedli znowu u stołu, zapytałem:

— Gdzież są owe liczne gromadki małych królewiczów i królewien, chciałbym je widzieć.

Na to odpowiedziała Iskierka:

— Dzieci Perelki i Jagódki zobaczysz mistrzu, gdy je w ich siedzibach odwiedzisz. Synek mój położył się spać właśnie, gdy nam znać dano o twojem przybyciu, ale teraz każe go przywołać.

Dała znak paziowi: wkrótce potem otworzyły się drzwi i wbiegł w podskokach przesłiczny trzyletni chłopczyk, przyszedł następca tronu w królestwie minerałów, książę Szafir; a za nim poważnie kroczyła ochmistrzyń. Niebieską jedwa-

bną sukienkę księcia, obcisnął w pasie pasek z amiantu\*), owj tkaniny mineralnej, którą dawniej wszystkie sprzęty w pałacu Kryształka były powleczone i w którą się ubierał król wicz wraz z całym dworem. Jasna główka pokryta była złocistymi loczkami, spadającymi na ramiona, a wielkie ciemnoszafirowe oczy mające blask prawdziwych szafirów, zdobiły twarzyczkę różową i uśmiechniętą.

Książę z rozpostartymi rączkami pobiegł prosto do matki, a ta posadziła go na moich kolanach, mówiąc:

— To jest dziadzio Abrakadabrus. Uściskaj go!

Trochę się książę wzdrygał, bo się bał moich ciemnych okularów, więc zdjąłem je; jednocześnie sięgnąłem do koszyka po pomarańczę i podałem mu ją. Na warunkach tych przyjaźń została zawartą: chłopczyzna objął mnie rączkami za szyję, powtarzając:

— Abrakadabra, Abrakadabra! \*\*)

To rozśmieszyło wszystkich, a ja gdy m poczuł tak blisko przy sobie tę jasną główkę, przypominałem sobie wasz kraj, gdzie dużo takich jasnowłosych dzieci widziałem, wasze pismo i poselstwo którego się podjąłem, a dla którego dotąd nic jeszcze nie zrobiłem. Przemyślałem właśnie od czegooby zacząć, gdy ułatwiła mi to bezwiednie Iskierka pytając:

— Mistrzu jak wygląda kraj z którego nam przywiozłeś gościniec?

— Piękny jest — odpowiedziałem. — Góry tam wysokie, od sławnych Alp piękniejsze i bogate w minerały; stepy rozległe i tak bujnemi trawami porośnię, że człowiek w nie schować się może; łąki kwieciste, ziemie urodzajne, jeziora pełne ryb i lasy pełne zwierza. Niegdyś był śpichlerzem Europy, a drzewa z jego lasów brano na maszty okrętowe, dziś zboże jego ludy nie bardzo chcą kupować, bo mają z Ameryki tańsze, więc bierze się do ogrodnictwa, do przemysłu i do rzemiosł. Niegdyś był bogaty, ale szafował swem mieniem bez rachunku i zubożał, ale teraz dorabia się na nowo; niegdyś sprawiał wiele hałasu, dziś jest cichy, milczący, pracuje i oszczędza na kapitał przyszłości; niegdyś był potężny i dawał opiekę słabszym, dziś z tej potęgi pozostała tylko pamięć wielkiej sławy, a Bóg kazał mu zakosztować chleba niedoli. Słońce tam nie takie jaskrawe ani tak gorące jak na Południu, niebo nie takie ciemnym obleka się szafirem; bledsze jest, a łagodny jego smętny koloryt, wywiera wrażenie jakiejś wiekuiściej, nieczem niezaspokojonej tęsknoty. Nigdzie nie widziałem tyle krzyżów co tam: stoją one po drogach z wyciągniętymi ramionami, jakby wołały: Święty Boże! święty mocny! święty a nieśmiertelny...!

— To samo opowiadał mi ów człowiek uratowany z rozbitego okrętu — odezwała się Jagódka, z wielkiem słuchającą zajęciem. — Za godło ma pięknego białego ptaka, zrywającego się do lotu.

— A jacy tam ludzie, mistrzu? — zapytała Perelka.

— Ludzie w jednych stronach śpiewają tak wesołe i rżne piosneczki, że od nich same nogi bez wiedzy człowieka do tańca lecą, w innych dumki tak smętne, że znowu bez wiedzy człowieka łzy same z oczu przy nich płyną i serce żalością się zalewa. Ludzie tam i źli i dobrzy, jak wszędzie na świecie, ale dłoń mają zawsze chętną do pomocy, a drzewi chat i dworów otwarte na oścież dla gości, tak jak mieli nigdy otwarte granice kraju dla wypędzanych z kąd innąd tułaczy. Słyna też w świecie z gościnności, a przysłowie ich narodowe mówi: „Gość w dom, Bóg w dom”.

— Mistrzu — rzekła patrząc mi bystro w oczy Iskierka mówisz o tym kraju tak jakbyś go kochał... Może ty pokochałeś go więcej niż naszą wyspę Atlanty?

— Są uczucia które nie zamykają serc na żadne kochanie — odpowiedziałem — ale je jeszcze rozszerzają. Serce po-

\*) Amiant, czyli asbest, minerał dzielący się na długie igielki do włókien roślinnych podobne; można z nich wyrabiać tkaninę jak z lnu lub przedziwa.

\*\*) Abrakadabra, słowo czarodziejskie, które wypisane w kształcie trójkąta, na tabliczce, noszono niegdyś jako amulet, pomocny szczególnie od febrj.

siada coraz więcej, w miarę tego im więcej daje: mnoży się ono jak ów chleb ewangeliczny, co to tysiączne rzesze nakarmił, choć go było tylko pięcioro i dwie ryby.

Książę Szafir któremu się sprzykrzyło już siedzieć spokojnie, zaczął się kręcić na moich kolanach, ale matka dała mu do zabawy swój szmaragdowy naszyjnik i uspokoił się.

(d. n.)

## Dom o 28-iu piętrach.

Wiele już najnowsze czasy przedstawiły nam dzieł rąk ludzkich, tak śmiałych w pomysły, a tak trudnych w wykonaniu, że wobec nich maleją owe bajeczne cuda świata starożytnego. Liczba takich nadzwyczajności wzrasta prawie z dniem każdym; duch ludzki szuka coraz nowych dróg, coraz trudniejszych zapórów do przewyciężenia. Pod tym względem na wyscigi o lepsze idzie Europa z Ameryką; więc gdy inżynierowie starego świata dokonali w roku zeszłym na wystawie paryskiej dzieł tak zadziwiających jak „Wieża Eifla i Pawilon centralny” budowniczy Buffinkson powziął zamiar wzniesienia, w Ameryce w mieście Mineapolis, domu o 28 piętrach. Gmach ten, w śmiałości i oryginalności pomysłu, dorównywać będzie z pewnością wzięj wspomnianym arcydziełom sztuki inżynierskiej. Rycina powyższa przedstawia nam plan tej budowli, obok innych kilku-piętrowych domów, abyśmy przez to porównanie mogli powziąć pewne wyobrażenie, o jej wysokości. Wzniesie się ona ma jak baszta olbrzymia na 350 stóp angielskich, a jako materyał do niej użyty będzie tylko żelazo i kamień. Naturalnie, ludziom zamieszkującym te niezliczone piętra, niemożliwym byłoby posługiwać się jedynie wschodami, dla tego, po dwóch tylko stronach budynku będą one wzniesione, a do zwykłego użytku urządzonych będzie 10 do 12 wind olbrzymich. Dom ten, o niepraktykowanych dotąd rozmiarach, posiadać będzie poważną liczbę 730 pokoi.

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

— Czyliż może w istocie zaszkodzić za samem skóry potarciem?

— Zuam chłopaka, który zaledwie nie umarł, jedynie nawąchawszy się jej. Sąsiad mój w Tabasko, rąbał drzewo w pobliżu swego ogrodu. Wąż z rodzaju zwanego tutaj *żmija żelaziec piki* wpełzł do jego chaty, gdzie znajdował się synek najmłodszy, dziesięcioletni, ale nadzwyczajnie odważny na wiek swój. Malec ujrzał węża, gdy już był blisko, schwytał go za szyję obu rękami i wołał o pomoc, a zanim brat znajdujący się w pobliżu zdążył nadbiec, wąż okręcił się koło ręki dziecka i tak się szarpał, że trudno go było utrzymać.

— Siekiery! przynieś siekiery i utnij mu łeb! — wołał malec. Ale nie podobna było ciąć w żmiję nie uciawszy razem palców chłopcu.

— Mniejsza o to! — wołał malec. Starszy brat nie chciał użyć tego sposobu, skoczył po butelkę oliwy *guaraka*, którą ojciec miał w szafie i aby nie tracić czasu na odkorkowywanie, utarcił szyjkę i rozlał płyn na łeb węża i ręce brata. Wąż wił się przez chwilę, potem przestał się ruszać i leżał miękki jak szmatka; ale dwaj chłopcy zaczęli kichać gwałtownie. Starszy wybiegł z domu do ojca, a młodszy krzychał:

— Powietrza, powietrza! duszę się! — Gdy brat i ojciec przybiegli, nie znaleźli dziecka w chacie. Po długim szukaniu odnaleźli je dopiero o pół mili ztamtąd przy studni omdlałego. Z wielką trudnością zdołano go przywrócić do życia; trucizna zaschła i przestała działać szkodliwie.

Nazajutrz Melchior i jego gromadka rozstali się z pułko-

wnikiem. Wielkie liany przerzucone od drzewa do drzewa wiązały je z sobą nieprzerwaną olbrzymią siecią, wiły się po ziemi jak węże, lub wisały u drzew jak nieprzeliczone liny okrętowe. Poza takim murem lesistym, dzikie zwierzęta były prawdziwie jak w fortecy i mogły drwić sobie z myśliwca. Wiewiórki i zające same tylko przebiegały po tych szlakach, ale nawet Kasztan nie mógł już ich ścigać w nieprzebranych zaułkach leśnych gdzie się chroniły za najmniejszym szelestem. Zdawało się, że Kasztan po niefortunnych próbach stracił nawet ochotę do dalszego ścigania, gdy nagle Melchior ujrzał go rzucającego się jak strzała i zatrzymującego się przed jakimś zwierzęciem, które bruździło w krzakach. Kapitan zaraz rozpoznał olbrzymi ogon szarego mrówkojada, mającego kształt szyszaka i już miał strzelić, ale trudno było osiągnąć potwora, nie narażając zarazem psa.

Zwierzę to, dziwnie wyglądało ze swą białą grzywą na ramionach, długowłostym szyszakiem niby i długą mordą zakończoną małym pyszczkiem, z którego wychodził język długi, kończaty, który zdawało się mógł wyciągać bez końca. Język ten służy mrówkojadowi do zdobywania pożywienia. Wsuwa on go w podziemne galerye mrówek, i wyciąga obległy mrówkami, przylepionemi śliną lepłą, jaką jest pokryty.

Spotkany egzemplarz był jeden z największych w swoim rodzaju. Nastawił przeciw Kasztanowi dwie przednie łapy zaopatrzony w ostre szpony, któremi machał w około. Długość jego wynosiła najmniej metr i trzydzieści centim. Pies w obec tak zbrojnego nieprzyjaciela zemknął co prędkiej. Mrówkojad natenczas zbliżył się do niego, ale ruszał się tak niezgrabnie i śmiesznie, że Tomek i Menito zanosili się ze śmiechu. Zwierzę to albowiem do chodzenia musi niejako związać i chować straszne swe pazury w pewien rodzaj kłębka na końcu łap, skutkiem czego rusza się dziwnie wolno i niezgrabnie. Czując zapewne swoją niższość w biegu nie śmiał on też mierzyć się z Kasztanem i po pierwszej nieudanej próbie, skierował się ku małemu wawozowi i znikł w krzakach. Tomek napróżno go szukał, uchylając wielkie liany; nic nie było widać ani o dzieśnięć kroków nawet, ale straszne mruczenie, na które Kasztan w tył odskoczył dowodziło, że mrówkojad był niedaleko.

— Spieszmy, Spieszmy — wołał Dabby Simon — patrzcie na te chmury nie dziwiłbym się gdybyśmy pływali przed nocą.

Było zaledwie trzy godziny po południu, a niebo zaciemniło się okropnie, i od czasu do czasu błyskawica przerzynała ciemności. Wędrowcy spieszyli w milczeniu, gdy Tomek chwycił wuja za rękę, mówiąc:

— Zdaje mi się, że słyszę dźwięk dzwonu. Słuchaj!... znowu go słyszę! Co to być może?

Melchior i jego towarzysze zatrzymali się, nasłuchując. Szczególniejszy dźwięk podobny do odgłosu dzwonu dawał się istotnie słyszeć w głębi lasu.

— To jest *campanero*, ptak dzwonnik — rzekł Dabby Simon. Dzwoni on swoim dzwonkiem; a wszak mówiłem przed chwilą, że tylko patrzeć burzy. Gdy tylko niepogoda grozi, ten ptak obwieszcza ją w ten sposób. To znak nieomylny.

— A to znaczny pewno, żeby zwierzęta leśne skrywały się przed burzą — rzekł Tomek. — Jest to więc barometr w swoim rodzaju.

W tejsze chwili trzy lub cztery nietoperze przeleciały nad głowami podróżnych ze zwykłym swoim świstem, gdy tymczasem kot dziki skoczył na drogę, spojrział im w oczy i przerażony uciekł napowrót.

— Oni wzięli tę ciemność za zmierzch i zdają się dziwić co my tu robimy w lesie — rzekł Tomek nie mamy czasu bawić się słuchaniem ptasząt, lub ściganiem zwierząt podczas takiej niepogody.

— Czekajcie chwilę — krzyknął Menito wciskając się w gestwinę z narażeniem własnej skóry — tylko chwilę. Widzę w pniu tego drzewa otwór, musi to być schronieniem dzikiego kota, któregośm dopiero widzieli. Jest tam całe gniazdo małych kociaków, jestem pewny tego, słyszę jak miauczą. Żeby też mi kto dopomógł.

Tomek coprędkiej ofiarował się z tą usługą i w chwilę

później młody Meksykanin przyniósł Melchiorowi cztery ładne kociaki, zdumione widokiem ludzkich twarzy.

— Teraz niech sobie tam i deszcz pada, mniejsza o to — powiedział.

— Nie spadła jeszcze ani kropla deszczu, ale ciemność zalegała coraz większa i wiatr złowrogo jęczał w głębiach leśnych.

— Niestety! — krzyknął Dabby Simon — zblądziłiśmy. Oto chata jakaś o! widzicie ją?

— Jakimże u licha sposobem mogłeś zblądzić — mruknął Melchior. — Powinieneś być przecież uważać!

— Ha, cóż robić panie, piątek jest dniem feralnym. Wracajmy, tamta droga niedaleko być musi.

Wrócili więc kilkaset metrów i wistocie znaleźli właściwą drogę. Nie nie było dziwnego, że jej przewodnik nie spostrzegł, bo podobną była do dróżki wydeptanej przez dzikie zwierzęta, chodzące tędy do wody. Mimo to wędrowcy już wchodzili na tę drogę, gdy podmuch wiatru nagle oziębił powietrze, o jakie osm lub dziesięć stopni. Małpy które jęchały z podróżnymi, bo Tomek nie chciał się z nimi rozstawać, zaczęły jęczyć i wykrzykiwać jakby umyślnie chciały zwrócić uwagę podróżnych na zbliżającą się burzę.



... gdzie namalowana była latająca żaba (str. 108).

— Oto masz! — rzekł Menito przytrzymując na głowie kapelusz, który tylko co z niej nie uciekł; — otóż i burza. Cóż teraz będziemy robić? Nie powróciliby nam do tej pustej chaty? Lepiej przecież schronić się tam niż stać na deszczu.

Była to istotnie najroztropniejsza rada, i popędziwszy muła przybyto do chaty w dziesięć minut. Gdy kapitan pomagał Dabby Simonowi w urządzeniu miejsca na spoczynek, chłopcy pobiegli szukać paliwa, ale zaledwo przynieśli dwa naręcza, gdy burza wybuchła z taką potęgą, aż małpy przelekły się i prawie jakby poszalały. Tuliły się jedna do drugiej z gestami tak dziwaczными, że mimo własnych kłopotów, Melchior i jego towarzysze nie mogli się wstrzymać od śmiechu. Ale burza tymczasem potężniała coraz okropniej. Olbrzymie drzewa leśne, gięły się i chwiały jak trzcina, i gdyby chata była zbudowana z mniej silnych materiałów, byłaby z pewnością porwana wraz z gałęzmi, które naokoło latały jak ptaki po powietrzu. Skoro tylko huragan począł się zmniejszać, zaraz deszcz zaczął padać z niesłychaną gwałtownością i na-

tychmiast las cały zabrzmiał tysiącami głosów, niby starożytna wieża Babel. Papugi piszczały, koty wrzeszczały, mruczały, a nad cały ten hałas, wybijało się rzegotanie pewnego zwierzęcia z rodzaju ssących nocnych, trochę podobnego do małpy. Meksykanie nazywają je *falszową małpą* albo *małpiem widmem*. Małe zwierzątko skakały po belkach dachu, ale było tak ciemno, że nie można było ich chwycić. Jednakże Menito potrafił dosięgnąć jednego za pomocą swego bata, i przekonał się, że to co brał za szczury, było gromadą wiewiórek, które dawno zamieszkały w opustoszonej chacie, zachowywały się tam jak u siebie. Prawdopodobnie uważały to za wielką niegrzeczność, iż im tam przeszkadzano, a wędrowców jako wdzierców i nieproszonych gości.

Kasztan stanął na progu i musiał spostrzedz coś, co mu się nie podobało, bo zaczął warczyć i mruczyć, a sierść najeżyła mu się na grzbiecie. Spojrzawszy uważnie naokoło chaty, Melchior ujrzał dwoje oczu złotych i błyszczących w grubiej ciemności nocnej, która zastąpiła zmierzch poprzedni. Menito już szedł ku drzwiom ze swoim biczem, gdy Dabby Simon pociągnął go w tył tak gwałtownie, że chłopak aż się potoczył i upadł w kącie chaty.

— Czyś rozum stracił do reszty? — zawołał — czy masz ochotę być pożartym? Tam musi być pantera lub jaguar i to nie lada jaki! nie wiesz to, że takie stworzenia nie zaglądną do kalendarza i potrafią nas zjeść tak dobrze w piątek, jak każdego innego dnia?

Nie dowiedziano się wcale jednak co to było naprawdę, bo błyszczące oczy wkrótce znikły, zwierzę musiało zleknać się ognia, jaki wędrowcy z wielkim trudem rozpalili i utrzymywali u drzwi chaty pomimo deszczu, który padał wciąż przez większą połowę nocy. Nazajutrz ustał, ale ziemia nasiąknięta była wodą jak gąbka. Jednakże, ponieważ Czarnula nie duży miała ładunek i nie było obawy, aby w błocie zagłębiała się zbyt mocno, przeto wędrowcy udali się w dalszą drogę.

(d. c. n.)

## LAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

19 wyrazów. Początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół, złożą dla kogo i od kogo jest ułożoną. Sylaby: Aj — ak — An — Biew — bat — Ce — Cal — Cmen — dy — E — Ei — I — ka — li — le — mie — nie — nie — nie — non — ni — Or — Ho — Ny — rość — szyl — sarz — Sa — Sze — to — tarz — to — Wi — faj — Zy — Zie — za — ze — Ze.

Znaczenie wyrazów: 1. Trunek. 2. Nowoczesny bogacz. 3. Silna burza. 4. Gatunek zboża. 5. Ozdoba twarzy. 6. Dzikie naród. 7. Wykrzyknik. 8. Oznaka wstydu, radości lub znużenia. 9. Tytuł władcy. 10. Imię żeńskie w 2-im przypadku. 11. Święto u Izraelitów. 12. Inaczej roślina. 13. Część łokcia. 14. Imię męskie. 15. Dwie samogłoski. 16. Przymiot duszy. 17. Miejsce spoczynku. 18. Syn Abrahama. 19. Imię męskie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

### Zagadki:

S u m — M u s .

### Krzyża z podstawą:

1. Tytus Chałubiński.
2. Czorsztyn.
3. Wisła.
4. Beskidy.
5. Wieliczka.

**TREŚĆ:** Na święta Zmartwychwstania, wiersz p. M—a. (z drzew.). — Wielkanoc. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.). — Palma wachlarzowa (z drzew.) — Z wyspy Atlanty p. Zofię Urbanowską (z drzew.) — Dom o 28-iu piętrach (z drzew.) — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Lamigłówa i rozwiązania. **Dodatek:** W Wielką Sobotę (z drzew.) — Wiosna, wierszyk p. Romanie Kmieńskiej. — Przygody Wicusia, p. Annę Załęską (d.). — Lamigłówa i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.





## W WIELKĄ SOBOTĘ.

Było to w wigilię Wielkiej Nocy.

Ciepłe, kwietniowe słońce uśmiechać się zdawało do wszystkich i rzucając jasne promienie chciało niby osuszyć lepiej wilgotną ziemię i przybrać wszystko w uroczystą, świeżą sukienkę, na jutrzejszy wielki dzień Zmartwychwstania.

Na ulicach rojno było i gwarno a i w każdym też domu ostatnie przedświątne przygotowania zajmowały małych i dużych. Tutaj jeszcze skrzętne mamusie, przy pomocy córeczek, kończyły pieczenie ciast lub porządki w mieszkaniu, tam znów, po ukończeniu zajęcia, śpieszono pomodlić się przy ślicznie przystrojonych „grobach” w kościołach, wszędzie znać było niezwykle ruch, ten tak dobrze każdemu znany ruch przedświąteczny.

W malutkiej izdebce gdzieś na przedmieściu cicho tylko było i smutno. Wprawdzie i tutaj potrafiło zajrzeć wesołe słońce, przedstawiając się przez małe zapożniane okienko, ale nie napotkało widać nic takiego do czegooby śmiać się mogło. W izdebce ubogo było i pu-  
sto, w jednym tylko kąciku na stołeczku siedziała ośmio-  
letnia dziewczynka, naprawiając pilnie podartą niebieską  
bluzę robotnika.

Była sama jedna. Na wygasłym kominie stały  
jeszcze garnuszki, w których niedawno ugotowała skro-  
mny postny obiad, a starszy braciszek Antoś, zaniósł go  
właśnie ojcu do fabryki, w której pracował jako kowal,  
od rana do późnego wieczora.

Józia małą była jeszcze bardzo, ale umiała wszystko  
zrobić w domu. Matkę straciła już dawno, musiała więc  
nauczyć się i dać radę wszystkiemu. Brat pomagał jej  
zawsze w czem mógł i tak oboje razem potrafili usłużyć,  
i osłodzić życie ojcu, który powróciwszy do domu, zmę-  
czony całodzienną pracą, zastawał zawsze wzorowy por-  
ządek i oczekujące go niecierpliwie, kochające serdu-  
szka.

I teraz właśnie dziewczynka zajęta robotą myślała,  
jak mu tam smakowała czarna gryczana polewka, gdy  
wtem otwarły się z łaskotem drzwi ze dworu i do izdebki  
wbiegł z piosenką na ustach rumiany, dziesięcioletni  
może chłopak, a stawiając na stole garnuszki, zawołał  
wesoło:

— Józiu, a toż to jutro mamy wielkie święto! tatuś  
powiedział że Pan Jezus zmartwychwstanie. Na świecie  
tak ślicznie, słońce świeci aż się dusza raduje, ludzi peł-  
no, a wszyscy idą do kościoła. Przechodziłem i ja koło  
jednego, więc wstąpiłem. Ach, żebyś ty wiedziała co za  
śliczności widziałem!... W zieleni, oświecony kolorowe-  
mi lampkami leży niby Pan Jezus, tak tam pięknie  
w około Niego — cicho, zielono jak w lecie, i taki spokój  
jakby naprawdę On sam z nieba do nas zstąpił. Chodź  
Józiu, pójdziemy jeszcze raz, musisz zobaczyć jak tam  
ślicznie!...

Józia z zadziwienia aż zaprzestała roboty. Zachwy-  
cona opowiadaniem brata, podniosła ku niemu ciekawie  
oczy i już gotową była biedz z nim, kiedy nagle przypo-  
mniało jej się co innego. Była przecież jedyną gospo-  
dynią w tej izdebce. Przed każdym świętem robiła  
w niej porządkę, a cóż dopiero przed takim uroczystym!  
Rozejrzała się dokoła. Brudno tu nigdy nie było, ale  
mogło być przecież jeszcze porządniej... przystąpiła do  
brata mówiąc łagodnie:

— Dobrze Antosiu, pójdziemy do kościoła ale wpi-  
erw trzeba umyć wszystko. Na taki dzień musi być ładnie  
u nas i tatuś się ucieszy, prawda?..

— Ach prawda — zawołał chłopiec. — Jak mogli-  
śmy zapomnieć o tem; zaraz przyniosę wody. Jak skoń-  
czymy sprzątać, to wtedy dopiero pójdziemy

Zdjął swoją kamizelkę, zakasał rękawy, ona pod-  
niosła i spięła z tyłu spódniczkę i ochotnie, śmiejąc się  
do siebie, zabrali się do roboty.

Przy dobrych chęciach wszystko idzie jak z płatka.

W parę godzin umyli podłogę, stół, parę prostych  
krzesel i półki, poustawiali na nich ładnie kuchenne na-  
czynia, na białym, starannie w zęby powycinanym pa-

pierze; potem Józia pobiegła do szafki, wydobyla z niej  
czyściutką jak śnieg serwetę i nakryła stolik, Antoś zaś  
w kąciku pod obrazem Matki Boskiej zapalił czerwoną  
lampkę.

Ukończywszy to wszystko spojrzeli po sobie z za-  
dowoleniem. Mała izdebka przeistoczyła się całkiem.  
Czysto tu było i dziwnie jakoś miło, choć ubogo.

— A teraz my się umyjmy, i my przecież musimy  
ładnie wyglądać, idąc do kościoła—zawołał chłopczyna,  
stając nad wiaderkiem z wodą; — Józiu, polój mię czystą  
wodą!

Dziewczynka podała mu mydło i stanawszy na sto-  
łeczku nabrała wody w kubek.

— Pojutrze będzie szmigus — mówiła — ale to  
święto będzie, weźmiemy więc czyste ubranie, którego  
szkoda wodą maczać. To za to teraz cię obleję.  
A masz!!

I chlusnęła zimną wodą na jasną czuprynę brata.

Oboje uśmieli się z tego serdecznie.

Potem szybko przebrali się w czystą odzież i jeszcze  
słońce jasno świeciło, jak wybiegli do kościoła. Tam  
przy ślicznie przystrojonym grobie, zachwyceni, modlili  
się długo i gorąco, a skoro nad wieczorem powrócili do  
domu, niespodziewanie zastali już w nim ojca, a stół  
przykryty serwetą, cały prawie zastawiony był „świę-  
conem”.

Ojciec w milczeniu przycisnął do szerokiej swęj  
piersi drobne główki dziecięce, na ciemne jego sumiaste  
wąsy spadła jakby łza czysta, i wskazując im stół zasta-  
wiony, szepnął rozczulony:

— O takich dobrych dzieciach, co o sobie nie my-  
ślą, tylko o drugich, Pan Bóg pamięta...

## WIOSNA.

Co tu woła, co tu śpiewa  
Z téj murawy, z tego drzewa,  
Z rozpienionych tych strumieni,  
Z tych lazarów, z tych przestrzeni?  
Wiosna woła: Działki, kwiaty,  
Ptaki, zdroje, gwiazdy, światy.  
Chodźcie, bierzcie każdy swoje,  
Ja wam niosę darów roje.  
Bierzcie życia siły, ruchy,  
Barwy, wonie, runa, puchy,

.....  
Chłopak siedzi na mogile,  
Jako białe łąk motyle,  
Taki cichy, taki błady!..  
Patrzy w barwne te gromady,  
Wśród wiosennych gwarów, szumów,  
Patrzy w serca ludzi — tłumów.  
Tuląc w piersi lżę-tesknotę —  
Woła: Bierzcie mnie sierotę!

## PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNĘ ZALĘSKĄ.

## IX.

Około siódmej godziny zeszli się już wszyscy.

Józia w sypialnym pokoju bawiła się wybornie piękną lalką, którą tego dnia dostała.

Pani Z. powitawszy Wicusiówych gości, odeszła mówiąc: — Bawcie się dobrze, moje dzieci, przyjdę znów do was w czasie herbaty.

Po odejściu jój zapanował gwar nie do opisania. Zaczęto opowiadać sobie różne szkolne anegdotki, naśladować profesorów, a nawet dwóch najmłodszych próbowało mocować się z sobą.

— Panowie — zawołał Wicus — mam tu dla was coś dobrego, nowalijkę, powiadam wam! bo to my przecież nie jesteśmy już takimi malcami jak przeszłego roku; już nas przecież nie pilnują i możemy się zabawić, jak na młodzież przystało — mówiąc to wydobyl z szuflady, ukrytą pod szkolnemi książkami paczkę papierosów i zaczął niemi wszystkich częstować.

Adaś, jako doświadczony, pierwszy puścił kłęb siniego dymu, za nim drugi i trzeci i w ciągu kwadransa w pokoju było aż ciemno, a w głowach chłopców kręcić się poczynano.

— Wiesz! coś mi niedobrze, tak jak wtedy w mazu-rzel u państwa jest widocznie jakieś niezdrowe powietrze; trzeba by okno otworzyć.

— Kiedy bo zaklejone.

— Zaklejone? no to odklejmy; przecież to już marzec, a w marcu, tak, od dwudziestego pierwszego wiosna się zaczyna.

— A prawda! — rzekł przekonany tym argumen-tem Wicus — pojutrze już będzie wiosna, no to możemy okno otworzyć! nawet lepiej to zrobić nim mama do nas powróci, niech trochę dymu wyjdzie; — i wspólnemi siłami zabrali się do roboty. Widocznie mieszkanie pani Z. starannie było na zimę opatrzone, kit trzymał mocno i nie łatwo się dał oderwać. Przy tych wysileniach pa-pieros wypadł z ust Wicusiówi, skrył się między fałdy miękkiej koronkowej firanki, ale nikt nie zważał na to, nikt nie czuł wśród ogólnego dymu zapachu spalenizny, który się w około rozchodzić zaczynał.

Nareszcie zbiorowe usiłowania zostały uwieńczone dobrym skutkiem; okno ustąpiło ciśnieniu kilkunastu par rąk i roztworzyło się z hałasem, a mroźny wiatr wpadł gwałtownie i zapalone światła pogasił.

Ale mimo to ciemności nie zapanowały w salonie; bo w tejsze chwili czerwony płomień ogarnął firanki i główki przestraszonych dzieci, cofających się z krzykiem do pokoju.

Silny był prąd powietrza; ogień udzielił się w mgnie-niu oka innym firankom, zaczęły płonąć drewniane kor-nisze; lampa, od gorąca czy też przewrócona, pękła i na-gle wybuchnęła jak straszny fajerwerk.

Na krzyk i dym wciskający się w głąb mieszkania, pani Z., służba, a za niemi płacząca Józia we drzwiach stanęły. Okropny przedstawił im się widok; pokój w pło-

mieniach; odważniejsi chłopcy zadeptywali ogień, Adaś przez potłuczone szyby wołał o ratunek; na ulicy już tłumy ludzi gromadzić się zaczęły. Ale któż zdoła wyraził przerażenie biednej matki, gdy z pod stosu goreją-cych firanek, ujrzała wyskakującego Wicusia. Jego cie-mne włosy były osmolone, rękami twarz i oczy zasła-niał.

## X.

Pozostawiwszy nadbiegającym sąsiadom i straży ratowanie sprzętów i gaszenie ognia, który dzięki ich pomocy nie rozszerzał się już dalej, pani Z. zajęła się Wicusiem, który najbardziej ucierpiał, i jego kolegami, bo każdy z nich mniej więcej nosił jakieś ślady wypadku. Ten miał poparzone ręce, tamtemu kawałek stłuczonej szyby twarz zranił; inny jeszcze uciekając w popłochu, przewrócony, rozbił się mocno, nie mówiąc już o mundurkach poniszczonych i o wielkiej stracie, którą pani Z. poniosła przez zupełne zniszczenie umeblowania w sa-lonie.

Mniej niż w godzinę, rodzice, opiekunowie uczniów, należących do tego kawalerskiego rautu, dowiedziawszy się o pożarze, zjechali się zdjęci obawą. Uspokojeni trochę co do skutku wypadku, pytali, jaka mogła być jego przyczyna?

Tu Wicus z żalem i wstydem musiał się przyznać do popełnionej winy, w obec tylu zgromadzonych osób; ale żal jego był tak głęboki, boleść tak prawdziwa, że wszyscy obecni uczyli, że od tej chwili chłopczyna się poprawi, że stanie się rozważniejszym i przed każdą czynnością pomyśli, jakie może mieć ona następstwa. Przebaczyli mu więc z serca i odjechali życząc, by jak najprędzej wyleczył się z oparzenia.

Jednak inaczej się stało. Ból i przestрах sprowa-dziły na Wicusia ciężką chorobę, która go przez kilka tygodni w łóżku przetrzymała. Tymczasem w klasie jego zaczęto się przygotowywać do egzaminów. Wicus nie mógł ich zdawać tego roku.

Wielki był smutek, gdy rówieśnicy jego i przyja-ciele przeszli do trzeciej klasy, on zaś pozostał w drugiej na rok następny. Wprawdzie pilnością i postępowa-niem stał się przykładem dla swoich nowych towarzy-szy, wprawdzie Adaś i inni uczniowie klasy trzeciej bar-dzo serdecznie go zawsze witali i zapewniali o swój przy-jaźni, ale nie było to już to samo, co dawniejszy ich sto-sunek i Wicus zawsze głęboko żałował straconego roku.

## SZARADA.

Kto się w pracy ciężkiej trudzi,  
Ten *pierwsze* ze smakiem;  
*Drugie* idzie, zdaniem ludzi,  
Pod rękę z próżniakiem.

A *wszystko* wraz  
Przebiega las  
I wzdłuż i wszerez:  
Rogaty zwierz.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

(od Serdecznej dziewczynki dla Rajskiego jabłuszka).

Początkowe i końcowe litery składają imiona dwóch miast. 1. Imię męskie. 2. Początek dnia. 3. Brat i Mojżesza. 4. Sprzęt domowy w 2 przypadku liczby mnogiej. 5. Dwie samogłoski. 6. Część ubrania ślubnego. Sylaby:

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go.

Szarady:

Ka — ka — o.

Zagadki homonimu:

Ś r o d a.

## Skrzynka do listów.

Mój ty luby Poranku majowy! Serdecznie ci dziękuję za serdeczne twe słowa! Zeszliśmy się myślą, ztąd widać że i serca nasze czują jednakowo. I jak możesz pytać, czy chcę korespondować z tobą, droga moja Marylko? Gdybyś była tak jak ja na obczyźnie i bez rodzeństwa, dopieroś wiedziała jak to miło odbierać listy, choćby od nieznanach siostrzyczek. Ściskam cię serdecznie *Brzydotka z nad Tamizy*.

Najdroższa Trawko stepowa! Z największą chęcią korespondować będę z tobą; nic ci o sobie nie donoszę, gdyż wiesz zapewne kto jestem, jak i ja również znam cię z opowiadania. Zrobisz mi wielką przyjemność, gdy nie długo każesz mi czekać na swą odpowiedź, a tymczasem całuję cię z całego serca *Stokrotka z nad Pilicy*.

Kochany Sobolu Irkucki. Tak bardzo podobało mi się podane przez ciebie opowiadanie Islandczyka, że chciałyby korespondować z tobą przez Wieczory. Donieś mi, czy wiesz co o dalszym losie Islandczyka, a także napisz ile masz lat, gdzie się uczysz i jak ci na imię? Moje imię Julek, mieszkam na Podolu, wkrótce skończę 9 lat. Czekam odpowiedzi. *Skanderbeg*.

Kochane: Staszko z Podola, Jaskółko z nad Sekwany, Jესieni i Cyganeczko z nad Wisły! Ponieważ od dwóch miesięcy jestem już staruszką, przeto was bardzo proszę, byście i mnie zechciały przyjąć do miłego grona starszych siostrzyczek w naszej, wielkiej wspólnej rodzinie. Przyjmijcie serdeczny pocałunek od kochającej was bardzo *Kuropatwy z nad Ikopetiu*.

Droga Królowo Wrózek i Barwinku, dziękuję wam za odezwę życzliwe. Królowo Wrózek czy się ślizgałaś i gdzie chodziłaś na ślizgawkę? Barwinku, dziękuję ci za szaradę, zgadłam ją. Pysalam ci serdecznego całusa, *Królowa Elfów*.

Pomarańczarka Rzymska przesyła ukłony Śpiwnej Lirze i Artystce i chociaż do nieznanach, wkrótce osobny liścik obiecuje napisać.

Zapytujesz mnie luba polna Rózo czy zechcę z tobą korespondować? Ależ czyż może być większa przyjemność jak miła rozmowa przez nasze ukochane „Wieczory”? Ja was wszystkie miłe siostrzyczki tak kocham, że radabym każdą osobiście uściskać. Napisz mi coś o sobie. Czy nie znasz Błyskawicy co mieszka także w Z. i pisuje do mnie. Serdecznie cię ściska *Biała Perelka*.

Kochana Ako! Przeczytawszy twą odezwę do czytelniczek, spieszam z odpowiedzią. Ale Ako droga nie donosiłaś nic o sobie. Co do mnie noszę imię królowej Serbii, mam lat 12, jestem

w IV klasie i mieszkam w Warszawie. Czy będziesz należała do nowego konkursu? Odpisz proszę, a zrobisz mi wielką przyjemność, gdyż do ciebie pierwszej piszę przez „Wieczory”. Twoja *Jemioluszka*.

Kochany Kameleonie! Zdziwisz się może, odbierając list od nieznanego. Jestem starym prenumeratorem „Wieczorów Rodzinnych”. Mam lat 13 skończone, jestem w 4-jej klasie gimnazjum realnego. Nie piszę do ciebie nic więcej, dla braku miejsca w Wieczorach na dłuższą korespondencję. Proszę cię odpisz mi zaraz, twój *Księżę Geniuszów*.

Droga moja Maniu T.! Chciałabym korespondować z tobą i mieć choć tę osłode, gdyż nie należę do konkursu i nie mam prawa do nagrody. Ucałuj odemnie Zosię, Julcię i Tola i pamiętaj o przyrzeczeniu przyjechania do mnie w lecie. Czekam niecierpliwie odpowiedzi, twoja *Noc Księżycowa*.

Drogi moje: Brzydotko z nad Tamizy, Halko z Litwy i Ako! Brzydotko! od razu cię polubiłam. Halko droga! czy zechcesz ze mną korespondować? Jeżeli tak, to napisz mi jak się nazywasz, ile masz lat i gdzie się uczysz. Lubię cię bardzo Ako za to że odpisujesz spieszniej odemnie, choć milczenie moje pochodziło ztąd, że chorowałam na odrę. Odpiszcie jaknajprędzej waszją *Psołnicę*.

Wesoła Krakowianko, Biała Chmurko i Biała Myszko. Gdzie mieszkasz i ile masz lat Krakowianko? Ja się nazywam Janina mam lat 13, mieszkam w Warszawie. Biała Chmurko, zdaje mi się że cię znam. Donieś mi więc czy jesteś córką doktora i czy masz trzy siostrzyczki, Manię, Jadzię i Helenkę? Droga Myszko Biała, może zechcesz ze mną korespondować? Żal mi cię bardzo że chorowałaś, bo sama chorowałam także. Odpiszcie kochającą choć nieznaną przyjaciółce *Czarodziejce*.

Miła Kapłanko Znicza. Bardzo mi się podobał twój pseudonym i pragnęłabym z tobą korespondować. Ciekawa jestem czy chodzisz na pensję? Cyganeczko z nad Wisły zapewne mieszkasz w Warszawie? Jeżeli zgadłam, to bądź tak dobrą, i donieś mi na jakiej mieszkasz ulicy? i czy znasz Grodzisk pod Warszawą? Całuję was i czekam odpowiedzi. *Czarodziejka*.

Bardzo mi jest przyjemnie rozmawiać z tobą choć listownie, przesyłam ci całusa i szaradę za szaradę. Ach! jakżebym chciała poznać cię osobiście! Uczę się także w domu, w wolnych chwilach zajmuję się różnymi ręcznymi robotkami, czytaniem i korespondacją. Czy pisujesz do Przyjaciela Dzieci? Na ostatnim konkursie robót dostałam w nagrodę od Redakcji Wieczorów bardzo ładną książeczkę do igieł. Jeżeli chcesz się dowiedzieć gdzie mieszkam, przeczytaj mój list do Fali morskiej w numerze 6-tym. Ściskam cię serdecznie i proszę byś o mnie pamiętała. Ako kochana przyjm też odemnie milion całusów i donieś co o sobie. *Niezapominajka z nad Warty*.

Dziękuję wam za listy, drogie: Kuropatwo z nad Ikopetiu i Biała Ostróżko! Donoszę ci, miłuchny kwiatku, że do konkursu należeć będę; a ty Kuropatwko, czy wesoło spędziłaś zimę? Lubo Ako, donieś mi co o sobie. Ja mieszkam na Wołyniu, uczę się w domu i mam młodszą siostrzyczkę, Helenkę. Czekam z niecierpliwością odpowiedzi, przesyłając wam tysiące całusów. *Biała Chmurka*.

Droga Laureatko! Ucieszyłam się bardzo z twego liściku. Na wykładach p. Smolki bywamy zawsze, jako też i na lekcjach lit. fran. Jest tu teraz Maryncia S. z Ossy, przyjechała na dwa miesiące. Ściskam cię wraz z siostrzyczkami. *Makolągwa*.

Przeczytawszy twoją odezwę „do wszystkich”, kochana Wesoła Krakowianko, postanowiłam napisać do ciebie i spytać dla czego taki obrałaś sobie pseudonym, mieszkając w Warszawie? jak wyglądasz i czyś czytała „Dwie Siostry”? mnie się bardzo podobały. Czy ci się podobał Kijów, droga Szara Koteczko? Śliczny masz pseudonym, miły Poranku majowy. Dla czego go obrałaś? Jaką naukę lubisz najlepiej? ja, historję. Dla czego nie pisujesz do „Wieczorów” Miodunko? Żegnaj was i proszę, odpiszcie przędko życzliwej *Białej Chmurce*.